

Płaskostopie kultury

11 marca 2013

Zawsze miałem problem z zakupem butów. Nie dlatego, że z moimi stopami było coś nie tak. Wręcz przeciwnie. Pamiętam jeszcze ze szkoły podstawowej, że jako jedna z dwóch osób w całej klasie nie miałem płaskostopia czy półpłaskostopia. Byłem w zdecydowanej mniejszości. Zauważyli to chyba producenci obuwia, którzy niemal wszystkie buty dostosowują obecnie do stóp z przynajmniej częściowym płaskostopiem, przez co to ja, posiadający zdrowe stopy, powinienem nosić wkładki ortopedyczne. Mam wrażenie, że sytuacja jest analogiczna do tego, jak w Polsce czują się osoby, które potrafiły właściwie odczytać pewne kody kulturowe.

Gdy przed dekadą w jednej ze stacji telewizyjnych pojawił się program Kuby Wojewódzkiego, zachowanie showmana wywoływało żywą dyskusję. Konwencja przyjęta w programie przez jednych była uznawana za wyraz upadku kultury mediów, dla innych stanowiła dowód wysokiej inteligencji prowadzącego, jeszcze inni uznawali ją za typową popkulturową wydmuszkę, postmodernistyczną zabawę, w której brać udział powinno się po uprzednim dodaniu cudzysłowu do wszystkiego, co zostanie powiedziane. Znamienne jest, że niemal w tym samym czasie w demokratycznych wyborach bardzo dobry wynik uzyskała Samoobrona, wprowadzając do debaty publicznej całkiem nowy dyskurs i nowy język, który z początku uznany został za przekroczenie pewnej granicy (Jerzy Buzek: „Nie będziemy rozmawiać na tym poziomie”).

Z czasem jednak ów poziom stał się standardem w politycznej debacie, a sama debata przestała mieć jakiekolwiek znaczenie, gdyż środek jej ciężkości przeniósł się w stronę formy, a dokładniej w kierunku tego, co opisywała „Erystyka” Schopenhauera. Treść całkowicie zatraciła znaczenie na koszt formy – jak najbardziej przystępnej, efektownej i wulgarnej. Za normę uznana została również konwencja programów

Wojewódzkiego – przez zdecydowaną większość społeczeństwa postrzegana nie jako popkulturowa gra, lecz jako wyraz inteligencji showmana, autentyczny, dominujący dyskurs, do którego należy dążyć, a przynajmniej się dostosować.

W okresie takich przemian wyrosły już dwa pokolenia (moje – 30-latków – i to o dekadę młodsze, nazywane „gimnazjalistami”), a starsze generacje również dały się wciągnąć w ten dyskurs. Postmodernistyczna zabawa nie została poddana żadnej dekonstrukcji i została uznana za fotografię rzeczywistości.

Kiedy w 2011 r. świat usłyszał krzyk młodych Oburzonych, w Polsce panowała cisza, a młodzi spoglądali na swoich zagranicznych rówieśników z pobłażaniem czy wręcz politowaniem. Sytuacja wydawała się zaskakująca, ponieważ ówczesne warunki życia demonstrujących Hiszpanów były lepsze od realiów egzystencji młodych Polaków nie znajdujących się w strefie kryzysu. Media tłumaczyły to często efektem upadku z wysokiego konia, jaki miał miejsce w zachodniej Europie, a czego nie doświadczyli Polacy. Tłumaczenie to zawiera najwyżej ziarno prawdy, co widać, gdy prześledzi się mapę ruchów Oburzonych 2011. Znajdują się na niej nie tylko kraje, w których z gospodarczego prosperity wykluła się recesja, ale i państwa, gdzie żadnego prosperity (szczególnie wśród młodych) nigdy nie było. Problem nie tkwi bowiem w ekonomii.

W psychologii pośród różnych rodzajów jaźni istnieje pojęcie jaźni odzwierciedlonej. Jest to własne wyobrażenie o tym, jak postrzegają nas inni. W dyskursie, o którym wspominałem, jest to rzecz niezwykle istotna, o ile nie najistotniejsza. Błędna dekonstrukcja dyskursu medialnego (chodzi tu nie tylko o przywołany dla przykładu program Kuby Wojewódzkiego, lecz o cały nurt programów rozrywkowych) wprowadza system zero-jedynkowy, w którym każdy musi przegrać albo wygrać, a o wygranej stanowi wyłącznie szeroko pojęty wizerunek, na który składają się różne elementy formy. Wchodząc w świat tych błędnie zinterpretowanych konwencji, najważniejszymi cechami

stają się atrakcyjność towarzyska, powodzenie materialne, poczucie humoru, błędnie zinterpretowana asertywność (tzw. cięte riposty). Przyjmując konwencje popkulturowej gry za własny schemat myślenia, młodzi ludzie wpadli w pułapkę, w jakiej nie znajdują się ich zbuntowani rówieśnicy z innych krajów.

Młodzi Polacy – choć panuje wśród nich ogromne bezrobocie, a posiadający zatrudnienie otrzymują zwykle minimalne pensje na umowach śmieciowych – nie wyjdą protestować na ulice, nie zbuntują się i nie przyznają, że jest im źle. Nad realnym życiem górę wzięła bowiem błędnie odczytany dyskurs popkulturowej zabawy, w której nie ma miejsca na walkę o swoje prawa ani na narzekanie czy po prostu realną ocenę sytuacji. Zbuntować można się co najwyżej przeciwko ACTA, bo tu się nie traci na wizerunku – stracić go można natomiast nie będąc na bieżąco z najnowszą ofertą popkulturową, dostępną na pirackich serwisach internetowych. Aby zbuntować się przeciwko wyzyskowi ze strony pracodawców, umowom śmieciowym czy podobnym bolączkom, należałoby najpierw publicznie określić swoją przynależność do osób niezadowolonych, posiadających problemy. We wspomnianym dyskursie zero-jedynkowym byłoby to określenie się mianem przegranych.

Pytanie postawione przez Ericha Fromma – „mieć czy być” – całkowicie przestało mieć znaczenie. I to nie dlatego, że młode pokolenia opowiedziały się za modusem posiadania. Stało się tak, gdyż stworzyły one własny modus: sprawiać wrażenie. Sprawiają wrażenie, że mają, i sprawiają wrażenie, że są.

Autor: Łukasz Stec

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Łukasz Stec (ur. 1982) – absolwent socjologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Życiu”, „Przeglądzie”, prasie literackiej i polonijnej. W

latach 2007-2008 był redaktorem naczelnym tygodnika „The Polish Times – Życie w Irlandii”. Autor zbioru opowiadań „Bimber” (Warszawa 2007).